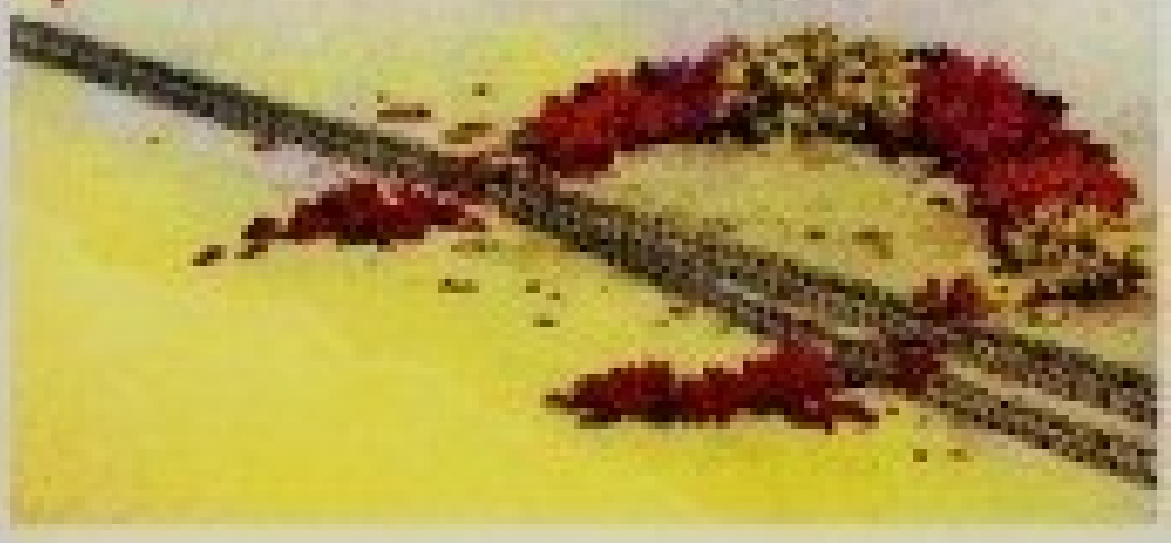
SPOTKANIE

Z

GURU

BARBARA SZAFRAŃSKA



SPOTKANIE Z GURU
Barbara Szandorowska

Wydawnictwo Dabar, 1994
Fragment książki
Strony 94 - 114

Rozdział 12
ŻYCIE W ASHRAMIE.

Sai Ba-ba porozumiewał się z każdą asharamitką w inny sposób, ze mną rozmawiał na poziomie umysłu. Carol objawiał się w snach, a Sharon w wizjach. Z jedną Australijką w średnim wieku (była na duchowej ścieżce od 17 lat) komunikował się przez jej automatyczne pisanie. Opowiadała mi o tym:

- Czytałam jakąś starą księgę Sai Ba-by - wspominała, gdy nagle moja ręka (w której trzymałam ołówek) zaczęła coś kreślić na kartce papieru. Jej ruchy były coraz szybsze, aż w końcu nie mogłam już nad nimi zapanować. Widziałam, że rysuję twarz jakiegoś mężczyzny. Gdy skończyłam, przyglądałam mu się uważnie zaintrygowana. Dopiero później przerzucając kartki tej księgi zrozumiałam jego znaczenie. Przy jej końcu dostrzegłam po raz pierwszy pojedynczą fotografię: twarz Sai Ba-by, z profilu. Byłam zdumiona gdyż moja ręka narysowała jego doskonałe podobieństwo, twarzą w twarz. Wcześniej zdarzyło mi się już pisać automatycznie, ale wiedziałam, że jest to znak od Sai Ba-by, abym przybyła do Indii.

Nie każdy jednak przeżywał pozytywne doświadczenia. Ku mojemu zaskoczeniu Michele, studentka medycyny z Francji która znajdowała się tu od miesiąca, w ogóle nie miała żadnego kontaktu z Sai Ba-bą. Była rozgoryczona tym, że traci czas.

- Sai Ba-ba nie ma żadnej mocy - drwiła. Cały ten ruch to bzdura! Próbowałam podzielić się z nią kilkoma rzeczami, które mi się przydarzyły, ale ona nie przyjmowała moich świadectw jego działania

- Spójrz! - obstawała przy swoim - Niczego nie przeżyłam. Nie ma tu nic, czego można by doświadczyć!

Odeszłam od niej, zawiedziona tym, iż nie potrafię się z nią porozumieć. Podejrzewałam, że tak zamkniętą postawę spowodowało jej intelektualne podejście do religii.

Podczas mych samodzielnych podróży mogłam cieszyć się szczególną społecznością z Sai Ba-bą. Małe cuda i odpowiedzi na modlitwy jakie otrzymywałam sprawiły, iż

czułam się dumna i pyszna. Byłam zdziwiona tym, iż także inne ashramitki mogły opowiadać o takich małych cudach, czy też liliach, jak je tu nazywano, które im się zdarzały. Nie miałam prawa czuć się lepsza od nich.

- Oh, Sai Ba-bo! - wołałam. - Proszę, uczyń mnie pokorną!

W czasie następnego darszamu biłam się w piersi:
- Panie, nie jestem godna, by cię przyjąć – modliłam się – ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja.

Przy każdym powtórzeniu tych słów, czułam jak moje serce wypełnia się coraz potężniejszą mocą. Nie mogłam już w końcu dalej tego wytrzymać i przestałam się modlić ze strachu, że się przewrócę, albo nawet zemdleję.
Pewnego ranka spóźniłam się na darszan. Sai Ba-ba już go opuszczał. Gdy odszedł podeszłam do platformy, blisko miejsca gdzie siedział. Przez następne piętnaście, dwadzieścia minut odczuwałam jego obecność. Gdy patrzyłam na jego obraz, wydawało mi się, iż do mnie mówi.

- Pozostań - oto, co chciał mi powiedzieć. Planowałam tu być jeszcze przez krótki czas, a następnie wyruszyć w dalszą podróż, wiedząc o tym, iż niezależnie od tego, gdzie jestem Sai Ba-ba może kierować moim duchowym wzrostem. Jednak teraz zrezygnowałam ze swych planów.

Codziennie uczęszczałam na darszany bhajany. W ten jednostajny sposób mijał dzień za dniem. Każdego poranka po darszanie urzędnicy przysyłali nam fragmenty nauki Sai Ba-by, nad którymi miałyśmy medytować cały dzień.

Pewnego dnia przeczytałam taki oto fragment: „Ludzie przychodzą do aszramu z różnych powodów. Niektórzy po to, by otrzymać rzeczy materialne, inni, by doznać uzdrowienia. Tylko czasami w sercu szukającego pali się ogromne pragnienie przebywania blisko Boga. Taka właśnie osoba jest dla mnie szczególnie cenna."

- O Sai Ba-bo! Spraw, by moje intencje były czyste – modliłam się. – Zabierz ode mnie wszelkie pragnienia, które mogą mi przeszkodzić w szukaniu Boga.

Innego dnia Sai Baba porównał siebie do chirurga, gotowego wyciąć wszelkie nieczystości z naszego serca, jeśli mu tylko na to pozwolimy.

- O Sai Ba-bo! - szeptałam. - Przyłóż swój skalpel do mojego serca niezależnie od trudności, jakie z tego dla mnie wynikną.

Wiedziałam, że gdy już będę czysta, Bóg będzie mógł we mnie zamieszkać. Tęskniłam za tym bardziej niż za czymkolwiek innym. Nie miałam najmniejszego pojęcia o tym, w jaki sposób Sai Ba-ba odpowie na moją modlitwę.

Niemniej moje oddawanie czci nie kierowało się ku Sai Ba-bie w jego cielesnej postaci. Przestroga nowicjusza bym patrzyła poza ludzką formę wciąż była dla mnie żywa.

Każdego wieczora w porze kolacji, jeśli stanęłyśmy w pewnym miejscu na terenie przyległym do hotelu, mogłyśmy widzieć, jak Sai Ba-ba chodzi po swojej siedzibie.

Grupa wyznawczyń, zwykle pod przywództwem Sharon zbierała się tam, by go czcić. Choć z rzadka przyłączałam się do nich, nie robiłam tego z całego swego serca. Wydawało mi się wtedy, że jest po prostu zwykłym człowiekiem, a oddawanie czci człowiekowi jest rzeczą złą.

Podczas jednego z darszanów człowieczeństwo Sai Ba-by stało się dla mnie szczególnie widoczne. Gdy szedł w moim kierunku widziałam w nim po prostu mężczyznę w średnim wieku z wystającym brzuszkiem. Starałam się skoncentrować na jego boskości, gdyż czułam się obciążona, dlatego że widzę go w taki sposób. Nie potrafiłam jednak usunąć tego obrazu sprzed moich oczu.
Niemniej, gdy myślałam o Bogu jako duchu, nie miałam takich problemów. Pewnego dnia, gdy kontemplowałam nad wszechobecnością Boga wokół siebie, widziałam ustawione rzędami miniatury Sai Ba-by. Więc tak to jest, gdy się jest wszędzie - dziwiłam się.

Bhajany, podczas których śpiewaliśmy pieśni uwielbiające Sai Ba-bę w Telegu lub Sanskricie, także przedstawiały dla mnie pewne trudności. Po prostu zupełnie nie mogłam wczuć się w nastrój uwielbienia, gdyż całkowicie nie rozumiałam tego, co śpiewam. Pewnego dnia wraz z Sharon pracowałam nad tym problemem. Odbyłyśmy długi spacer wokół osady, trzymając się pod ramię. Sharon głośnym głosem śpiewała po angielsku, podczas gdy ja, werset po wersecie, powtarzałam je w orygianale.

Później dołączyła do nas jeszcze jedna aszramitka. Nie pozostała z nami jednak długo. Hałas jaki wywoływałyśmy wprowadził ją w zakłopotanie. Poza tym czułam, iż była negatywnie nastawiona do Sharon. Ja natomiast podziwiałam ją za brak zahamowani i spontaniczne oddanie. Sharon była dumna ze swej duchowości. Oddawanie czci było jej największym szczęściem. Podobała mi się. Co więcej, ta sesja pomogła mi przezwyciężyć mój problem.

Istniała jeszcze jedna przeszkoda, z którą musiałam sobie poradzić. Było nią jedzenie - ściśle wegetariańskie, bez jajek, ryb, czy mięsa, z kilkoma zaledwie produktami mlecznymi. Gorące sosy zawierały olbrzymie ilości chili i miały małą wartość odżywczą. Co więcej, pomimo akcentowania przez Sai Ba-bę wagi, jaką miało przygotowanie posiłków w atmosferze miłości, czasem wcale nie było jej widać w naszej jadalni. Pamiętam, jak kiedyś dwoje kucharzy z zaciśniętymi pięściami, zaczęło rzucać na siebie przekleństwa. Nic dziwnego, że jedzenie smakowało okropnie.

Jednego wieczora, podczas samotnej pracy nad książką Sharon, poczuła uczucie zimna rozchodzące się z żołądka. Byłam przerażona. Poszłam do Sharon, która na mój widok zaczęła drżeć.

- Wiesz, czuję twoje zimno - powiedziała.
Wyjaśniła mi, że jest to objaw braku białka w pożywieniu i dała mi trochę orzechów. Uczucie to wkrótce minęło, ale teraz zastanawiałam się, czy powinnam zjadać tylko

wegetariańskie potrawy.

Ostre pożywienie zaczęło u mnie wywoływać nieprzyjemne, gorące wypieki na twarzy. Pojawiały się one co raz częściej, aż praktycznie w ogóle nie znikały. Co więcej, przy najmniejszej prowokacji reagowałam krzykiem. Czasem nawet prowokacja nie byłą potrzebna. Wystarczała ogromna potrzeba wyładowania się. Ludzie wokół mnie wydawali się chłodni i zachowujący się z rezerwą. Dlaczego? – zastanawiałam się. Pragnęłam być podobna do nich.

Równocześnie z traceniem kontroli nad moimi emocjami, wzrastała moja wrażliwość na innych. Nie wiem, czy było to spowodowane codzienną medytacją, zmianą potraw, czy może obydwoma powyższymi czynnikami.

Niemniej definitywnie zmieniałam się. Gdy podchodzili do mnie ludzie, czułam fizyczne ich ciepło, bądź chłód. Promieniowałam radością widząc uśmiech innej wyznawczyni, ale zaczynałam drżeć, gdy ktoś na mnie zimno spojrzał. Kiedyś zobaczyłam ciemnoszarą chmurę depresji wiszącą nad głową jednego ashramity, siedzącego na krawężniku z głową skrytą w swych dłoniach.

Co raz częściej też wiedziałam, co za chwilę ktoś powie. Chociaż wydawało mi się to niesamowite wkrótce odkryłam, że podobne zmiany przechodzili inni ludzie, którzy przebywali w ashramie przez jakiś czas. Perspektywa tego, że w niedługim czasie, jeśli nadal będę rozwijać się w tym kierunku, będę mogła, podobnie jak Teresa, czytać w ludzkich myślach ekscytowało mnie, toteż modliłam się do Sai Ba-by o te umiejętności.

Któregoś dnia poczułam ogarniający mnie niepokój o matkę. Czując potrzebę porozmawiania z nią, opuściłam ashram i pobiegłam do miejscowego urzędu pocztowego, z którego mogłam zamówić rozmowę międzynarodową. Im bardziej się tam zbliżałam, tym większy niepokój mnie ogarniał. Jednak gdy, dotarłam na miejsce okazało się, że łączność telefoniczna na skutek ostatniej burzy, została przerwana. "Cóż, to normalne w tym kraju" - pomyślałam zirytowana. Nie mogąc nic innego zrobić, pomodliłam się do Sai Ba-by, by jej pomógł. Uczucie niepokoju minęło.

Później napisałam do mojej matki list, w którym opisałam swoje uczucia i spytałam ją, co się z nią w tym czasie działo. Bardzo szybko nadeszła odpowiedź, w której przyznała, iż bardzo się o mnie martwiła. Owej nocy przewracała się w łóżku myśląc o mnie i nie mogła zasnąć. W końcu jednak jej niepokój zniknął i uspokoiła się. Tak, Sai Ba-ba z pewnością jej pomógł. Myślę, że moja matka przeczuwała to, co wkrótce miało mi się przydarzyć i z tego powodu martwiła się.

W naszym hotelu mieszkało jeszcze paru ludzi z Zachodu. Złączeni wspólnym pochodzeniem i celem dzieliliśmy się naszymi troskami tak, jak w rodzinie. Szczególnie interesowało mnie pewne małżeństwo z Australii. Czasem mąż patrzył gdzieś w przestrzeń, pozostając w pewnym oddaleniu od naszej grupy. Jego żona patrzyła wtedy na niego ze smutkiem w oczach.

Pewnego dnia przypadkowo z jego kieszeni wypadła fiolka kokainy, rozbijając się u moich stóp. Teraz, gdy prawda wyszła na jaw jego żona z płaczem, wyjaśniała mi co jest przyczyną jej udręki.

- Dla tego tutaj jestem - krzyczała. - Miałam nadzieję, że Sai Ba-ba pomorze nam.

Dzięki temu incydentowi poczuliśmy, że nadszedł czas na to, by spotkać się z Sai Babą. Zauważyliśmy, że Sai Ba-ba najczęściej spotykał się z grupami jednej narodowości. Ostatnio, na przykład spędził wiele czasu z Włochami. Zdecydowaliśmy się stworzyć własną grupę Australijczyków i Nowozelandczyków. Ponieważ Byłam jedyną Kanadyjką, także weszłam w skład tej grupy. W końcu, argumentowaliśmy, wszyscy jesteśmy częścią Wspólnoty Brytyjskiej.

Tak wiele spotkało mnie dzięki Sai Ba-bie, że trudno mi było uwierzyć, że jeszcze nigdy nie rozmawiałam z nim twarzą w twarz. Nie mogłam się doczekać tego spotkania. Wydarzenie to zbliżało się coraz bardziej. W każdej chwili Sai Ba-ba mógł przybyć do swojego ashramu w Puttaparthi. Urzędnicy mieli nas poinformować o jego przyjeździe zaledwie dzień wcześniej. Prawie wszystkie nasze rozmowy koncentrowały się na naszym niedalekim spotkaniu. Z niecierpliwością czekaliśmy na to, co z niego wyniknie.

Rozdział 13
WYJAZD

Wreszcie nadszedł koniec naszego oczekiwania. Dowiedzieliśmy się, że następnego dnia pojedziemy do ashramu w Puttaparthi, który miał odwiedzić Sai Ba-ba, tak wiec tam mieliśmy się z nim osobiście spotkać. W piątek, 6 listopada 1981 r. w ashramie panował gwar, gdy wyznawcy pakowali się i walczyli o bilety na czarterowe autobusy. Kosztowały one 40 rupii, czyli, około 5 dolarów i wielu narzekało na ich cenę.

W nowym ashramie planowałam kilka zmian. Po pierwsze miałam zamiar kupować żywność wegetariańską w osadzie poza ashramem i sama ją przyrządzać. Nadal chciałam przestrzegać surowej diety rekomendowanej przez Sai Ba-bę, choć chciałam w niej umieścić więcej białek i mniej ostrych przypraw niż w potrawach oferowanych w kafeterii. Liczyłam, że Sai Ba-ba, dzięki boskiej interwencji, zaopatrzy mnie w piec.

Po drugie chciałam spędzić tydzień w ciszy, by idąc za radą pewnej chrześcijańskiej książki lepiej słyszeć głos Boga. Pomysł ten tak mi się spodobał, że nie dawał mi spokoju, aż do chwili, gdy wprowadziłam go w życie. Wtedy zrozumiałam, że Sai Baba chciał, bym to robiła, już od dłuższego czasu.

Chciałam spędzić ten tydzień czytając wiele książek o Sai Ba-bie. Kupionych przeze mnie. Mimo dużego ciężaru mojego bagażu pocieszałam się myślą, że dzięki niemu zdobędę wiele mądrości. Zdecydowałam się już, że będę niezależnie od wszystkiego, podążać wąską drogą dobroci. Książki te mogły mnie nauczyć wielu cennych rzeczy.

Gdy oczekiwałam z Sharon na przyjazd naszego autobusu, nagle z bram ashramu wyjechała czarna amerykańska limuzyna i szybko minęła nas. To odjeżdżał Sai Baba. Sharon, podekscytowana pobiegła za samochodem, mając nadzieję, że jeszcze raz będzie mogła zobaczyć Sai Ba-bę. Ja zostałam.

Po godzinie nasz autobus był gotowy do odjazdu, Mimo obietnic przedsiębiorstwa przewozowego, daleko było mu do klasy „lux". Gdy w końcu wsiadłyśmy do niego, niewiele miejsc siedzących było wolnych, toteż musiałyśmy siąść oddzielnie.

Krajobraz w miarę upływu czasu zmieni się. Plantacje orzechów ziemnych stopniowo przemieniały się w nagie nieużytki. Teren co raz bardziej obfitował w nierówności. Ich niesamowite kształty tworzyły niespotykany krajobraz i napawały mnie niepokojem przed przyszłością.

Co raz bardziej zbierało mi się na płacz, wewnątrz czułam narastającą panikę. Małżeństwo obok mnie wydawało się bardzo spokojne. Zastanawiałam się, jak udawało się im zachować spokój.

- O, Sai Ba-bo - modliłam się - pomóż mi osiągnąć pokój. W jakiś sposób udało mi się trzymać w garści do końca podróży.

Po kilku godzinach minęliśmy ogromną tablicę obwieszczającą, że właśnie opuściliśmy granice Królestwa Bhagvan Sri Satya (Prawdy) Sai Ba-by. Kilka mil dalej minęliśmy następną identyczną tablicę. Kawałek dalej zwróciła moją uwagę tablica z ostrzeżeniem przed kupnem ziemi przyległej do ashramu, co miało się wiązać z najstraszliwszymi konsekwencjami. Przed moimi oczyma pojawił się zarys Puttaparthi i wiedziałam, że nasza podróż dobiegła końca.

Autobus przejechał przez bramy ashramu i stanął przed urzędem meldunkowym. Wysiedliśmy i stanęliśmy w kolejce po przydział kwatery. W przeciwieństwie do Whitfield mieściły się one * obrębie ashramu i należały do wyznawców, ale mogliśmy je używać pod nieobecność ich właścicieli. Płaciliśmy 5 rupii (niecałego dolara) dziennie na pokrycie kosztów prądu i wody.

Zbliżały się urodziny Sai Ba-by, toteż ashram przeżywał szczyt zainteresowania. Miało do niego przybyć prawie 50.000 ludzi by świadkami szczególnych cudów, jakie czynił Sai Ba-ba w tym
dniu.

Cuda zawsze były takie same. Najpierw wkładał swą dłoń do dzbanka, który asystent trzymał do góry dnem i materializował vibuthi, boski popiół o właściwościach leczniczych, które uczyniły go sławnym. Tak długo, jak trzymał swą dłoń w dzbanie wysypywał się z niego popiół, a gdy ją wyjmował strumień przerywał się. Powtarzał ten proces dopóki kupki vibuthi otoczył go całkowicie. Później wyznawcy dawali małe ilości każdemu, kto potrzebował uzdrowienia. By wprowadzić jego lecznicze działanie w czyn chorzy zjadali go, bądź też smarowali nim swoje czoła.

Następnie Sai Ba-ba wykasływał jedną lub dwie statuetki – faliczne symbole Sivy niszczyciela. Były one wykonane z drogocennych metali i kamieni, takich jak złoto, srebro, rubiny, lazuryty, szmaragdy, topazy, opale, kamienie księżycowe. Trwało to kilka godzin. Widownia śpiewała wówczas pieśni wielbiące Sai Ba-bę jako Shivę. Widać było, iż Sai Ba-ba przechodzi wiele niewygód przed wykasłaniem kul o rozmiarze jaj. Temperatura jego ciała wzrastała, a jego twarz krzywiła się z bólu. Howart Murphet opisał szczegółowo owe fizyczne zmiany w swojej książce "Sai Ba-ba: Man of Miracles" ("Sai Ba-ba: Człowiek Cudów").

Miałam nadzieję, że zakończę ten tydzień w jednoosobowym pokoju. Ale ponieważ za dwa tygodnie były urodziny Sai Ba-by, moje szanse były minimalne. By tak się stało, Sai Ba-ba musiałby szczególnie zainterweniować.

Urzędnik przydzielający pokoje powiedział Janet, która miała podobne plany do moich, iż będzie dzieliła pokój z Sharon. Teraz przyszła na mnie kolej.

- Pokój 315 - ogłosił. - Będziesz w nim mieszkała sama. Nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście. Sai Ba-ba potwierdzał swą wolę wobec mnie. „Jest po mojej stronie" - myślałam płacąc z góry za tydzień.

Czekało na mnie jeszcze więcej dobrych rzeczy. Gdy rozgościłam się w swoim pokoju, Sharon przyszła do mnie trzymając w rękach piecyk Janet.
- Proszę - powiedziała - Janet nie potrzebuje go. Możesz go używać przez cały swój pobyt tutaj. Sai Ba-ba zaspokoił moje potrzeby w cudowny sposób. Gdybym tylko jeszcze odczuwała pokój, wszystko byłoby doskonale.

Wkrótce potem zgromadziliśmy się w mandirze (przestrzeni świątyni), by śpiewać pieśni chwały ku Sai Ba-bie podczas bhajanów. Najczęściej zanim ja tam przybyłam wyznawcy zapełnili już wewnętrzny hal, toteż siadałam na podłodze w zewnętrznym przedsionku. Ale tego dnia zdołałam zmieścić się w środku. Dzięki temu miałam dobry widok na Sai Ba-bę siedzącego na swoim tronie i przyjmującego naszą chwałę. Tak, że z łatwością mogłam śpiewać pieśni.

W miarę upływy czasu pulsacje melodie hipnotycznie narastały. Atmosfera była przesiąknięta energią z jaką oddawaliśmy mu cześć. Muzyka osiągnęła crescendo i podwyższyła się coraz bardziej, aż z mojego serca wyrywały się słowa chwały.

- Sai Ba-bo - krzyczałam wewnątrz w chwili uwolnienia – ofiaruję ci moje serce ze wszystkimi jego niedoskonałościami. Przyjmij je i zrób z nim, co chcesz.

W owej chwili moja gorączka opuściła mnie. W końcu doświadczyłam pokoju, jakiego szukałam od tak długiego czasu. Czułam się niczym ptak szybujący przez przestworza. Nie pamiętam, abym kiedyś czuła się tak wolna.

Rozdział 14
BEZ WYJŚCIA

Wkrótce bahajany dobiegły końca. Czując się bardzo szczęśliwa poszłam zrobić zakupy w sklepach poza ashranem. Przekomarzałam się wesoło ze sklepikarzami, z łatwością dochodząc z nimi do porozumienia. Odczuwałam cudowny spokój.

Powróciłam do swojego pokoju w ashramie i będąc zupełnie zrelaksowana rozpakowałam swoje bagaże. Zresztą nigdy nie byłam aż tak rozluźniona. Ogarniało mnie coraz większe lenistwo Pamiętam jak w Dajeeling, po zażyciu opium, poczułam taki bezwład iż przeleżałam w łóżku bez ruchu 12 godzin. Teraz czułam jeszcze większą bezwładność. Nic na to nie mogłam poradzić.

Położyłam się krzyżem na podłodze. Chciałam się poruszyć, ale nie mogłam. Czułam się tak, jakbym przyrosła do podłogi. Nagle przez moje ciało przeszło coś, jakby delikatny ładunek elektryczny. Przypomniałam sobie Matkę Teresę, która kiedyś opowiadała o bardzo ważnym doświadczeniu w jej życiu - poddaniu swej woli Jezusowi na krzyżu. Czułam, że przechodzę przez coś podobnego.

W końcu uczucie przechodzącego przeze mnie prądu odeszło, a z nim taka bezwładność. Wstałam. Wiedziałam, że doświadczyłam jakiejś przemiany, jednak gdy spojrzałam w lustro odbijała się w nim ta sama twarz co zawsze. Moje samopoczucie nie uległo zmianie. Rozmyślając nad tym, zaczęłam wybierać rzeczy do prania.

Nagle pojawiła się przede mną twarz Sai Ba-by. Nie przypominała ona jednak kochającego Sai Ba-bę jakiego znałam. Była ponura i straszna, świeciła niczym żarzące się węgle.

- Ha, ha, ha - śmiał się ohydnie. - Oddałaś się diabłu!

Wyobraziłam sobie ashram jako siedzibę piekła, z ashramitami jako namiestnikami wypełniającymi swoje diabelskie obowiązki. Podobieństwo to przeraziło mnie. Czy przywódcy wiedzieli o prawdzie? Z pewnością kilku z nich musiało o niej wiedzieć. Zadrżałam na myśl o tym, że ktoś mógłby świadomie wybrać służbę diabłu.

Co ja zrobiłam? Biblia jednak miała rację wskazując na odrębność dobra i zła. Byłam głupia, nie dostrzegając realności zła, w które nieświadomie weszłam. Teraz musiałam walczyć z nim twarzą w twarz. Wzięłam swój Nowy Testament do rąk i padłam na kolana gorzko płacząc.

- O, Boże, wybacz mi - szlochałam. - Zostałam oszukana. Nie wiedziałam co robię. Nie wiedziałam.

Przypomniały mi się słowa misjonarki o tym, że Jezus jest jedyną drogą do Boga. By to

potwierdzić używała tylko Biblię. Po raz pierwszy od rozpoczęcia swej duchowej wędrówki, chciałam uwierzyć w Jezusa, jako mojego Zbawiciela.

Ze wstrętem rzuciłam książkami Sai Ba-by o ścianę, spakowałam swoje rzeczy pozostawiając jedzenie, które dopiero co kupiłam i moczące się ubrania. Wybiegłam z pokoju. Musiałam opuścić ashram.

Na korytarzu zatrzymała mnie Sharon
- Co się z tobą dzieje? –wykrzyknęła.
- Sai Ba-ba nie jest Bogiem - wybuchnęłam - on jest diabłem.

Sharon skierowała się ku mnie chcąc mnie uspokoić.
- Nie zbliżaj się do mnie – krzyknęłam.
Wiedziałam, że Sai Ba-ba może nią manipulować.

Nikomu w ashramie nie mogłam zaufać. Dołączyła do niej wyraźnie zaniepokojona Janet.

Po prostu muszę coś zrobić - dodałam ciszej i zbiegłam ze schodów.

Skoro bezmyślnie poddałam się diabłu, rozumowałam, muszę zwrócić się do Jezusa o pomoc. Jedynym znanym mi miejscem, był kościół. Wybiegłam więc z ashranu na ulicę i poprosiłam przechodnia, by wskazał mi drogę do
najbliższego.
- Tutaj nie ma żadnego kościoła, jest tylko jedna świątynia – odpowiedział wskazując na ashram.

Czyż nie było głupotą z mojej strony myśleć, że gdzieś tutaj znajdę kościół. W końcu znajdowałam się w „Królestwie Satya SAI" O czym wyraźnie informowały wszystkie tablice 5 mil stąd.

Najbliższy znany mi kościół znajdował się w Bangalore - 5 godzin jazdy stąd. Jak mam się tam dostać teraz w nocy? - zastanawiałam się. Było około ósmej wieczorem. Autobus już odjechał, a na następny trzeba było czekać do jutrzejszego wieczora. Przypomniałam sobie, że zwykle przed ashramem stał rząd taksówek. Poprosiłam jakiegoś młodego Hindusa, by zamówił dla mnie jedną.

Oczekując na nią przestraszyłam się, że przecież także jej kierowca może z łatwością znaleźć się pod wpływem Sai Baby. Co będzie, jeśli nie zawiezie mnie do Bangalore? Z mojego wnętrza słyszałam głośno i wyraźnie głos Sai Baby siejący zamęt w moim umyśle. Zaczęłam powątpiewać, czy w ogóle uda mi się uciec, toteż gdy nadjechała taksówka, wręczyłam jej kierowcy banknot 10-rupiowy i powiedziałam mu, że zmieniłam swoje plany. Zdecydowałam się pójść na piechotę.

Z duszą na ramieniu rozpoczęłam swoją wędrówkę. Moje bagaże wprost przygniatały mnie do ziemi, ale ich wartość wydała mi się bez znaczenia w porównaniu z tym, o ile szybciej mogłabym się poruszać. A szybkość miała tu ogromne znaczenie. Bez

wahania porzuciłam je i krzyknęłam kierowcy taksówki by rozdał je biednym. Poza pasem na pieniądze i paszportem opasającym moje biodra jedyną rzeczą, jaką sobie zostawiłam, był Nowy Testament.

Wędrowałam tak przez całą noc słysząc dobiegający z mego wnętrza głos Sai Ba-by, wystawiający mnie na pokusy.
- Nie chcesz mojej mocy? Możesz posiąść moją wiedzę.
Nie brałam w ogóle pod uwagę jego propozycji, toteż zaatakował mnie z innej strony.

- Ha, myślisz, że ujdziesz stąd z życiem? Zapewniam cię, że nie. Za wiele wiesz. Ogarnął mnie przeogromny strach, ale wiedziałam, że bez względu na to, co będzie się działo, muszę iść naprzód.

Słyszałam jeszcze inny głos, tak cichutki, że prawie niedostrzegalny.
- Idź dalej – szeptał. - Idź naprzód, aż dojdziesz do tablic wyznaczających granicę tego królestwa. Nie stanie ci się żadna krzywda, dopóki będziesz wzywać imienia Chrystusa.

Słowa te były dla mnie ogromną pociechą. Dostrzegłam, że pochodzą z innego źródła, niż słowa Sai Ba-by, zdecydowałam się im zaufać.

Surrealistyczny księżycowy krajobraz wokół przerażał mnie swoją niezwykłością. Okoliczni mieszkańcy szli w moim kierunku, jakby chcieli zablokować mi drogę. W ostatniej chwili zniknęli w nieprzyjaznym mroku, pozwalając mi przejść. Zaczęły szczekać psy. Ich upiorne kształty przypominały mi złe duchy. Minął mnie jakiś powóz ciągnięty przez woły. Woźnica zaproponował mi, że mnie podwiezie. Zignorowałam go, wiedziałam bowiem, że w królestwie Sai Ba-by nie mogę nikomu ufać.

Doszłam do jakiegoś stawu.
- Usiądź, odpocznij chwilę - zachęcał mnie Sai Ba-ba. - Zobacz, jaki panuje tu spokój.

Na przekór jego słowom z uporem szłam dalej.
- Jak tylko dotrzesz do szpitala, przeżyjesz swój pierwszy atak wścieklizny. Czeka cię powolna i bolesna śmierć.

Atakował moje najsłabsze punkty. Gdy jego głos stał się zbyt mocny, zaczęłam wykrzykiwać imię Chrystusa coraz szybciej idąc dalej. Czułam się zjednoczona z nim. On także był kuszony, ale w przeciwieństwie do Niego nie myślałam, że mogę wytrwać. Wzywałam jego imienia, ale gdzie On był?

- Nie ma tu żadnego Jezusa - śmiał się Sai Ba-ba.

Całą sobą trzymałam się nadziei, że gdy już minę tablicę będę poza terytorium Sai Baby i jego zasięgiem.

- Jesteś pewna, że Chrystus ci pomoże? - szydził Sai Ba-ba - tam nie ma nic. Nic.

W końcu dotarłam do pierwszej tablicy. W tym miejscu droga rozdzielała się. Druga tablica znajdowała się kilka mil dalej ale nie wiedziałam, w którą stronę mam teraz skręcić. Nie zastanawiając skręciłam się w lewo. Sai Ba-ba naśmiewał się ze mnie dalej.

- Teraz wchodzisz jeszcze głębiej w moje królestwo. Nigdy nie znajdziesz stąd wyjścia.

Wróciłam, z powrotem, skręciłam w prawo.

-Moje królestwo nie ma końca. Będziesz chodziła po nim w kółko, aż w końcu padniesz ze zmęczenia. Wkrótce zmęczysz się ciągłym wzywaniem Chrystusa.

Czułam rozpacz i pustkę. Wątpiłam, czy będę mogła jeszcze długo iść. Od wykrzykiwania imienia Chrystusa zaschło mi w gardle.

Wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że wciąż noszę na sobie religijne świecidełka. Kiedyś zapewniały mnie o jedności wszystkich wierzeń. Teraz napawały mnie odrazą. Musiałam się uwolnić od jakiegokolwiek związku ze złem. Wyrzuciłam w krzaki bransoletę Sikh, naszyjnik Hindu, a także medalion z Matką Opiekunką.
Chociaż cieszyłam się z tego, że uwolniłam się od tych symboli wciąż było mi ciężko. Dopiero po jakimś czasie zauważyłam, że jeszcze mam na palcu pierścionek, ofiarowany mi przez Jean, Kanadyjczyka z mrocznymi oczami. Mimo tego, że moje dłonie były opuchnięte, byłam zdecydowana się go pozbyć, nawet gdybym wraz z nim miała stracić swój palec. W końcu, po wielu wysiłkach, zsunęłam pierścionek i odrzuciłam od siebie tak daleko, jak potrafiłam.

Natychmiast poczułam ogromna ulgę. Na miejsce rozpaczy i beznadziei wkroczyła nadzieja. Ciemne chmury na niebie od razu rozdzieliły się, tak, że padał przez nie promień światła. Wyczuwałam obok mnie czyjąś obecność, napawającą mnie nadzieją. Od tej pory walka pomiędzy dwoma siłami o moją duszę stała się bardziej równa. Sama droga stała się symbolem tej dwoistości Jej lewa strona przedstawiała zło, a prawa dobro, dlatego cały czas trzymałam się prawej strony. W żaden sposób nie chciałam się poddać władzy Sai Ba-by. Jego duch był co prawda we mnie, ale swoim uporem pokazywałam mu, że łatwo mu się nie poddam. Zaatakował mnie jeszcze raz, tym razem w jeszcze inny sposób. Zaczął mnie nauczać.

Na początek w długim wywodzie wyjaśnił mi wydarzenia, które miały miejsce w Ogrodzie Eden. Historia upadku człowieka dała mi wiele do myślenia. Podziwiałam jej głębię i znaczenie. Jednak szybko zapomniałam szczegóły. Doszłam natomiast do przekonania ze nieświadomie skosztowałam owocu z drzewa poznania dobra i zła i znajdowałam się ponownie w stanie grzechu pierworodnego. Jedynym lekarstwem na to było ponowne przyjęcie chrztu. Ledwie słyszalny głos zapewnił mnie, że gdy jutro znajdę kościół, pastor ochrzci mnie bez wahania.

Zaczęło padać. Było mi strasznie zimno (Miałam na sobie tylko koszulkę, z krótkim

rękawem i słabe sandały z rzemyków). Szukając schronienia poszłam na przełaj do stajni ukrytej w ciemnościach i wdepnęłam w ciernie. Pokuśtykałam dalej, pojękując z bólu.

- Jesteś tym, kim wierzysz, że jesteś - wykładał dalej Sai Ba-ba. - Jeśli wierzysz, że jesteś Bogiem, to jesteś Nim. Jeśli myślisz, że jesteś zraniona przez te ciernie, to rzeczywiście tak jest. Jeśli myślisz, że jest ci zimno, to jest ci zimno. To początek nowego życia dla ciebie. Jesteś już poza karmą i możesz czynić, co ci się żywnie podoba. Teraz możesz tworzyć swoją własną karmę.

Mnie jednak wyłącznie interesowało to, by stać po stronie dobra.

Gdy dotarłam do stodoły groźnie zawył pies. Z duchem Sai Ba-by w moim wnętrzu mnie byłam już pewna swojej tożsamości. Straciłam pewność siebie, uciekłam stamtąd, czując, że nie mam żadnego prawa tam przebywać. W ciemnościach doszłam do jakiegoś domu i skuliłam się pod jego okapem w oczekiwaniu na nadejście dnia.

- Jeśli czujesz, że jest ci zimno - pouczał mnie dalej Sai Ba-ba - to wyobraź sobie, że z twojego wnętrza promieniuje ciepło otaczając całą twoją osobę.
Drżałam z zimna, a jego instrukcje wydawały się logiczne. Nie widziałam żadnego zła, w tym, że ich posłucham. Po kilku próbach stwierdziłam, że to działa. Czułam wszędzie ciepło, mimo że byłam cała przemoczona. Rozpoczęła się następna lekcja.

- Jeśli czujesz, że jesteś przemoczona, to wyobraź sobie, że otacza Cię mur nieprzepuszczalny dla wody.

Było to troszkę trudniejsze, ale w końcu rzeczywiście poczułam się sucho. Zaszczekał pies.
- Pomyśl, że cię nie widzi.
- Zrobiłam tak i pies umilkł.

Nastawał ranek. Zauważyłam, że znajduję się na skraju małego miasteczka, które powoli budziło się do życia. Właściciele domu, pod którego okapem się skryłam, dostrzegłszy mnie, wypędzili ze swojej posiadłości. Odeszłam, ponownie czując niesamowite zimno. Przeszłam przez most i znalazłam się w centrum.

Podeszłam do pierwszej chaty i spytałam, czy mogę się ogrzać. Mieszkał tam cieśla, wraz z rodziną popijał właśnie kawę. Poprosił bym siadła na ławce i napiła się z nimi. Okryta workami z juty powoli wracałam do siebie. Podczas rozmowy z nimi, ograniczonej ich znajomością angielskiego, czułam się tak jak dawniej. Ale gdy tylko nastała cisza znów usłyszałam głos Sai Ba-by. Ogarnęła mnie depresja.

- Teraz, gdy już znajdujesz się poza karmą, wszystko co uczynisz, nie przyniesie żadnego skutku. Nawet jeśli będziesz dobra, ludzie nie zawsze będą się odpłacać tym samym.

Jakby na potwierdzenie tych słów moi gospodarze podali mi proszek do mycia zębów

i wodę w naczyniu, z którego Hindusi piją bez przykładania do ust - techniką, której do końca nie opanowałam. Rozpryskiwałam wodę na wszystkie strony. Gospodyni spojrzała na mnie z gniewem.

- Rozumiesz o co mi chodzi? - Nie ma już sensu bycie dobrym - wskazywał Sai Ba-ba.

Na ławce leżało stare, zniszczone ubranie. Wydawało się, że jest ono właśnie tym, czego potrzebuję. Mogłabym się nim okryć. Sai Ba-ba wiedział o czym myślałam.

- No weź je. Potrzebujesz go bardziej niż oni. Nawet nie będą za nim tęsknić. W końcu jesteś już poza karmą.

Byłam bliska poddania się tej pokusie, ale oparłam się jej dlatego, że wcześniej zdecydowałam się postępować dobrze, niezależnie od wszystkiego. Nawet, jeśli ta droga nie przyniesie już żadnych rezultatów, była ona jedyną, na jaką pozwalało mi moje sumienie.

W międzyczasie zastanawiałam się nad czymś. Za dwie rupie, jakie pozostały w mojej kieszeni, mogłam kupić jeden posiłek, ale w tym miasteczku musiał się znajdować jakiś bank. Gdy tylko zostanie otwarty zamienię swoje czeki turystyczne na walutę hinduską. Opuściłam chatę cieśli i po drodze kupiłam jakąś przekąskę bez białka i dwie kawy, za drobne, które mi pozostały. Bank był usytuowany przy głównej ulicy, więc odnalazłam go szybko. Pewna siebie weszłam do środka, zwracając się ze swoją prośbą do kierownika.

Bardzo mi przykro. Będzie musiała pani udać się do Puttaparthi - poinformowała mnie. - Nie wymieniamy zagranicznych pieniędzy w tym mieście. Jest zbyt małe.

- Ale ja w ogóle nie mam hinduskiej waluty – zaprotestowałam.
- Powiem pani, co mogę dla pani uczynić – odparł. Proszę wziąć te pieniądze. Wystarcza, na bilet autobusowy do Puttaparthi - podając mi pięciorupiowy banknot.
- A Anantapur? – zapytałam. Miej więcej wiedziałam już gdzie jestem i byłam pewna, że miasto to, trochę większe od tego było blisko.
- Tak, może tam pani wymienić pieniądze, ale jest ono dalej od Puttaparthi i nie dojedzie pani tam przed zamknięciem tamtejszego banku.

To rozwiązywało sprawę. Wzięłam pieniądze i wyszłam przygnębiona. Tak, więc Sai Ba-ba posługuje się nawet Państwowym Bankiem Indii - myślałam - zmuszając mnie do powrotu do Puttaparthi. Było to ostatnie miejsce, jakie kiedykolwiek chciałabym ponownie zobaczyć.

Rozmyślając o pieniądzach na jakiś czas zapomniałam o naglącej potrzebie przyjęcia chrztu. Teraz powróciłam do tego zamiaru z odnowionym zapałem. Jakiś przechodzień zaprowadził mnie do kościoła.

- W czym mogę pani pomóc - spytał mnie w biurze asystent. Wyjaśniłam mu, że chcę zostać chrześcijanką i przyjąć chrzest.

Uśmiechnął się od ucha do ucha słysząc moje słowa i poprosił chłopca, by przywołał pastora. By zabić czas oczekiwania opowiadał mi o czymś. Im dłużej mówił, tym bardziej nieswojo się czułam. Jego uśmiechy obróciły się w złe spojrzenia, a jego twarz wydawała się ohydna. Wyglądał niczym wcielone zło. Chciałam uciec, ale mocna złapałam się za poręcz krzesła, zdecydowana przejść przez to wszystko nie dając się ponieść emocjom.

Gdy w końcu nadszedł pastor, wyjaśniłam mu, że byłam wyznawczynią Sai Ba-by, ale opuściłam go, gdy odkryłam, że stoi za nim zło. Teraz chciałam strać się chrześcijanką i przyjąć chrzest.